

„Błogosławiony dotyk smak  
i powonienie  
Przypaść do ziemi, wachać  
pniaki i korzenie  
pod przyzbą, gdzie pachniały  
kołaczki koleśne  
i biały psak zajęcy i awilice  
leśne.  
O jak słodki jest dotyk w pięciu  
drzęcych palcach  
zaklęty w sokach liści i w zie-  
lonych walcach...”

„LESNE — NIELESNE”

„Oto rosną gąszcze  
ran  
i od młota pęka ciemię.

Zbity dzban, zielony dzban  
pokruszony polepiony —  
to ty, to ja.  
Z każdej strony  
polepiony aż do dna.  
Dzban, dzban — kamień  
o dzban dudni,  
oko z gliny się czerwieni.  
Coraz gorzej, coraz trudniej  
mówić we krwi o zieleni.

„AUTENTYSCY”

TE DWA FRAGMENTY  
wierszy Jana Bolesława  
Ozoga rozdziela wiele  
lat pracy poetyckiej i li-  
terackiej, wiele uporu,  
mozołu i wierności dla swoich idei  
poetyckich i raz podjętej tematyki.  
Przeglądam obszerny tom „Poezji  
wybranych” zamykający w sobie  
30-letni dorobek poety. Od „Wyjazdu  
wnuka”, pierwszego debiutanckie-  
go zbiorku do najnowszego „Zy-  
wiolu” odmierzył ten czas Ozóg  
piętnastoma tomikami poetyckimi  
i kilkoma książkami prozatorskimi  
zawierającymi powieści i opowiadania.  
Swoją pierwszy wiersz opublikował  
w „Okolicy poetów” — organie  
autentystów redagowanym przez  
Stanisława Czernikę, i to zaważyło  
na wyborze jego drogi poetyckiej.  
Urodził się we wsi kolbuszowskiej,  
i to zadecydowało o tematyce  
jego twórczości. Odtąd wieś i jej  
sprawy widziane oczyma konsek-  
wentnego autentysty — to świat  
poetycki Ozoga.

Program autentyzmu w poezji,  
sformułowany przez Czernikę około  
roku 1955 zakładał, iż poszukiwanie  
prawdy artystycznej może odbywać  
się tylko w ścisłym połączeniu z  
prawdą życiową. Wartość utworu  
poetyckiego zależy od zasobów po-  
siadanych przez poetę sumy prze-  
żyć, doświadczeń i wiedzy. Wiersz  
może wyrastać tylko z podłoża głą-  
boko przeżytego doznania. Jeśli poe-  
zja jest ze swej natury spotęgowa-  
ną świadomością epoki, to poeta jest  
udziesięciokrotnionym człowiekiem.

Ale nie w zakresie teoretycznej  
wiedzy o świecie, lecz w intensywno-  
ści i bogactwie wzruszeń, przeżyć  
i uczuć wynikających z autentycz-  
nego doświadczenia życiowego.

Jan Bolesław Ozóg jest jednym  
z najwierniejszych wyznawców  
autentyzmu — dał temu wielokrot-  
nie wyraz w wypowiedziach i arty-  
kułach na łamach czasopism lite-  
rackich. W jego poezji obrzmiałą  
rolę odgrywa głęboki związek uczu-  
ciowy z rodzinnymi, wiejskimi stro-  
nami, doświadczeniami dzieciństwa  
i młodości, których tam doznał. To  
liryka gęsta od realiów ludzkiego  
bytowania, krajobrazu wsi, przyrody  
i ludowego obyczaju. Zdziwiała  
konkretnością i niezafalszowaną au-  
tentycznością obrazu. Ale nad tymi

## JAN GRYGIEL

żarnami, kminkiem, żerdziami pło-  
tów, koromysłami, naciąmi kuku-  
rydzy — nad smugami łubinu i za-  
duchem lip i siana, czyli nad wszy-  
stkimi sprawami starej chłopskiej  
ziemi — poeta rozpina tęczę liryzmu  
i fantazji. Jego świat jest sug-  
gestywny, urzekający niezwykłą u-  
rodą i nasycony do maksimum u-  
czuciowo. Te wiersze nie są wiejs-  
kimi obrazkami, statycznymi ma-  
lowankami uroków ziemi rodzinnej.  
Wiele w nich konfliktów, cierpień i  
niespokojnego szamotania się w po-  
szukiwaniu „miejsca na ziemi”.

Owszem, w pierwszych wierszach  
Ozoga, w pierwszych zbiorkach je-  
go poezji można było usłyszeć to-  
ny bukoliczne. („Wyjazd wnuka”  
1937 r., „Prymicie” 1938 r., „Ogier  
i makolągwa” 1939 r.). Wystarczy  
ważnie przeczytać cytaty z pierwsze-  
go wiersza umieszczonego na wstę-  
pie artykułu. Ale cytaty z drugiego  
utworu jest daleki od pochwały u-  
roku wsi spokojnej. Te dwa wiersze  
ukazują, jak trudną drogę prze-  
szedł poeta w ciągu 30 lat swej pra-  
cy. Dużo lęków, niepokojów i rozte-  
rek zawierają wiersze Ozoga. Żal  
za „utraconym rajem” najbliższej  
ojczyzny, to chyba najsilniejszy mo-  
tyw rozterki — motyw, który zre-  
szta tak często powtarza się w twór-  
czości poetów i pisarzy chłopskie-  
go pochodzenia. Odchodzą w inny  
świat, w środowiska wielkomiej-  
skie, w których nigdy nie mogą się  
w pełni zaaklimatyzować; pozostają  
zawieszeni w próżni, między wsią  
a miastem i widzą swój dawny  
świat jako krainę niedosiężnej już  
teraz szczęśliwości. W poezji Ozoga  
stał się chyba wynikiem elegijności i  
melancholia w nastroju wierszy. Stąd  
także niespokojne pytania, jak w

wierszu „Kim jestem” ze zbiorku  
„Ucieczka” 1965 r. o takim zakoń-  
czeniu:

„Ja? Kim jestem z nich

Kim z nich jestem? — naprawdę  
Aby nie uciekał  
od miasta do miasta  
aby zgubić się w Nim — w lesie  
obcym i dalekim

Stąd także skarga poety:

„Nóg tysiąc, gdy padam, po  
ziemi  
jak kamień od żaren mnie miele  
Krew z solą mi w kurzu wygasa  
jak świeca od wiatru w kościele.

Nielecko jest bracie i siostrze,  
w dalekiej stolicy na świecie.  
Nielecko jest pchać się przez życie  
chłopskiemu, obcemu poecie.”  
„TAJEMNICA”

Nietrudno dostrzec również w  
tej poezji akcenty antyurbanistycz-  
ne. Ozóg odczuwa wyraźną niechęć  
do obyczajów i życia wielkomiej-  
skiego. Destruktywna według poety  
cywilizacja miejska stanowi zagro-  
żenie dla uroków sielskiego kraj-  
obrazu, dla przyrody, w ogóle dla  
natury. I to jest drugim źródłem  
niepokojów Jana Bolesława Ozoga.  
Ujawnia się ono zwłaszcza w ostat-  
nich wierszach poety ze zbiorku „U-  
cieczka” i „Zywiol” z 1965 roku.  
Poeta zadaje pełne niepokoju i  
trwogi pytania o losy człowieka,  
losy natury, ziemi i jej odwiecznych

(Ciąg dalszy na str. 4)

U TWORZENIE nowej ko-  
mórki, do tego jedno-  
osobowej nie było wyda-  
rzeniem w tak dużym  
przedsiębiorstwie, jakim  
jest Huta „Stalowa Wola”. Ale tylko  
pozornie; wkrótce wiedzieli o  
niej kierownicy średniego i niższe-  
go szczebla, wielu nowo przyjmowa-  
nych pracowników oraz wszyscy

sytetu czuła się zagubiona w nie-  
znanym jej środowisku wielkoprze-  
mysłowym, ale pracodawcy zapew-  
nili jej bardzo dobre warunki, po-  
magali i oczekiwali rezultatów. Nie-  
bawem zaangażowano także socjolo-  
ga, tworząc pracownię psychologicz-  
no-socjologiczną.  
Eksperti w zakresie psychologii i  
socjologii przystąpili do pracy. By-

się sprawdzała. Wkrótce przełożeńi,  
przed podjęciem decyzji kadrowych,  
kierowali na badania do pracowni  
psychologicznej. Ale bywa także, że  
i z własnej inicjatywy pracownicy  
proszą o zbadanie, by udowodnić  
swoją przydatność do pracy na o-  
kreślonym stanowisku; odwołanie  
poparte opinią psychologa jest z  
reguły pozytywnie załatwiane.

## ZDZISŁAW KOZIOL

# HUMANIŚCI W FABRYCE

robotnicy jednego z wydziałów. Dy-  
rekcja Huty angażując psychologa  
nie kierowała się swego rodzaju mo-  
dą, lecz faktycznie potrzebowała  
eksperta w tej dziedzinie. Początko-  
wo młoda absolwentka uniwer-

podsumować wyniki ich badań, trze-  
ba by napisać kilka artykułów.  
Wówczas można by się niewątpli-  
wie spierać o zastosowane techniki  
i metody badawcze czy opracowanie  
zgrupowanego materiału. Można by  
także dyskutować nad tematami ba-  
dań. Jedno nie ulega wątpliwości:  
eksperti wykazali swoją pracę, że  
są potrzebni przedsiębiorstwu: dy-  
rekcji, organizmom politycznym  
oraz załodze, która początkowo od-  
nosiła się do nich z nieufnością.

Lepiej jednak, aby oceny nie wy-  
przedzały faktów. Już trzeci rok  
psycholog mgr Małgorzata Bonarek,  
która jedni nazywają panią magi-  
ster, inni zaś po prostu panią Ma-  
gosią, prowadzi systematyczne ba-  
dania s e l e k c y j n e. Zapo-  
trzebowanie na siłę roboczą jest  
duże, niekiedy nawet wyższe od po-  
daży, ale na wielu stanowiskach  
mogą pracować tylko ludzie odzna-  
czający się określonymi walorami,  
o których świadectwa szkolne czy  
opinie z poprzednich miejsc pracy  
mleczą. Stąd np. suwnicowi, kiegow-  
cy wszystkich rodzajów pojazdów  
mechanicznych czy kandydaci na  
uczniów szkół przyzakładowych  
poddawani są badaniom psycholo-  
gicznym. Badani są także ci pra-  
cownicy, których zakład kieruje na  
studia wyższe.

W Stalowej Woli stosuje się ba-  
dania testowe oraz badania na przy-  
rzędach. Jak już wspominałem, do  
praktyk tych robotnicy ustosunko-  
wali się podejrzliwie. Wydawało się  
im, że wymaganie od fachowca zna-  
jącego swój zawód ustawiania kłoc-  
ków itp. jest co najmniej niepro-  
zumiem. Fabryka czy przedszkole?  
Kandydaci na uczniów szkół  
przyzakładowych dziwili się, że ka-  
zano im oglądać obrazki i „na czas”  
kombinować, który pasuje do któ-  
rego. Ale opinia pani magister zna-  
czyła tyle samo, co np. świadectwo  
lekarzkie. I jak wykazała prakty-  
ka, opinia psychologa w zasadzie

W toku badań stwierdzono u nie-  
których kierowców ograniczoną re-  
akcję; wycofano ich z dalekich tras.  
U innych zaś psycholog, a nie le-  
karz (!) wykrył daltonizm; tych nie  
wysyłano już do miast, w których jest  
sygnalizacja świetlna. Psycholog ka-  
że nie tylko ustawiać klocki czy oglą-  
dać obrazki; przeprowadza także  
wnikliwy wywiad, zapoznaje się z  
życiem i środowiskiem badanego. To  
też ułatwia podejmowanie decyzji, od  
której zależy często przyszłość czło-  
wieka. Np. do Huty przyjęto dziew-  
czynę na przyuczenie do zawodu to-  
karza. Wkrótce oświadczyła, że pra-  
cować nie będzie, bo uprzednio ucze-  
szczała do liceum sztuk plastycznych,  
i tylko matka zmusiła ją do podjęcia  
tej pracy, która nie daje jej zadowo-  
lenia. Po zbadaniu w poradni psy-  
chologicznej skierowano dziewczynę  
na kurs krawiecki. Ten zawód wy-  
konuje z zamilowaniem.

Jeszcze inne przykłady. Robotnica  
prosiła o przesilenie jej do innej  
pracy. Odmówiono. Zwróciła się do  
psychologa, który stwierdził u niej  
brak koordynacji wzrokowo-słuchow-  
wej tak niezbędnie potrzebnej w jej  
zawodzie. Otrzymała inną pracę. Do  
psychologa skierowała m. in. robot-  
nika, który zbyt często wykonywał  
detale z charakterystycznym, zawsze  
tym samym brakiem; okazało się, że  
lekarz nie wykrył bardzo poważnego  
uszkodzenia oka. Zdarzyło się i tak:  
przełożony kierował ładowacza złomu,  
który dwukrotnie uległ wypadkowi,  
do obsługi szlifierki. A przecież pra-  
ca ta jest znacznie trudniejsza i —  
jak stwierdziła mgr Bonarek — prze-  
kraczała możliwości tego człowieka.

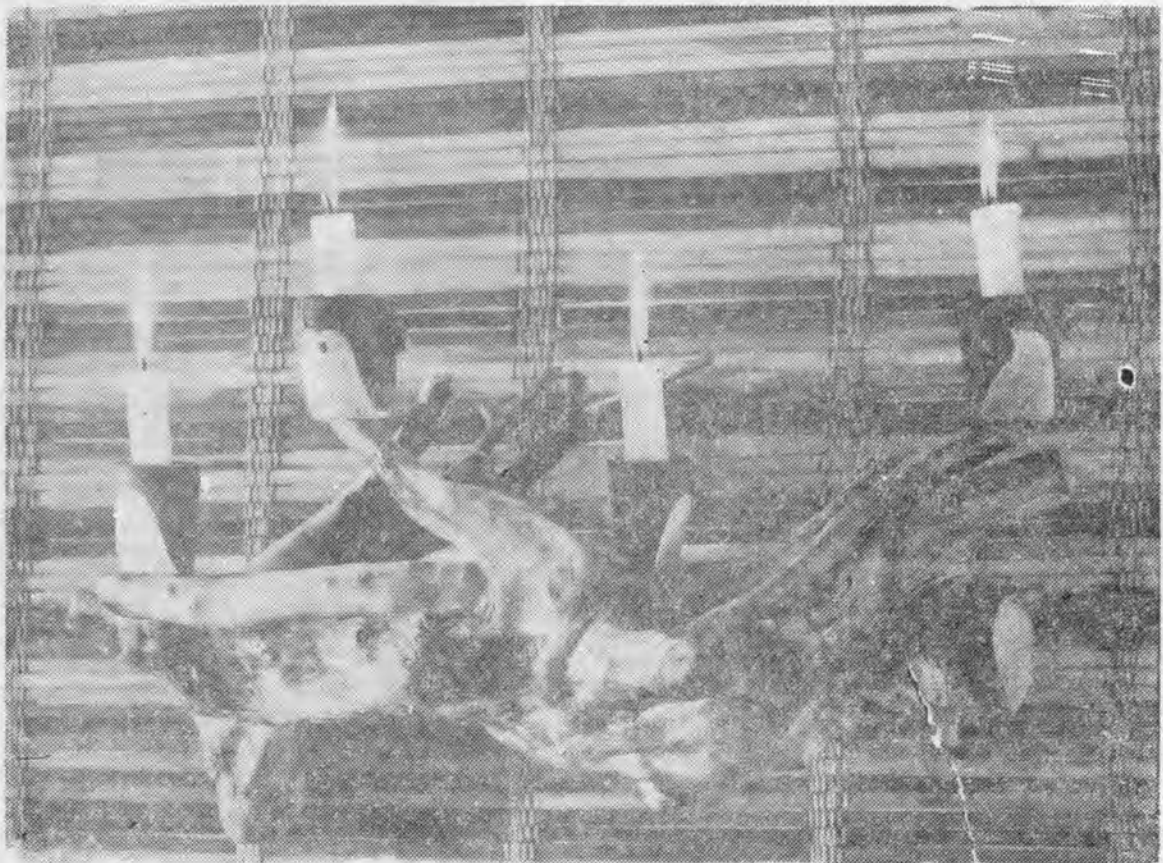
Przykłady można mnożyć. Psy-  
cholog ułatwia k i e r o w n i-  
k o m podejmowanie decyzji,  
zmniejsza ryzyko błędów, ujawnia  
przyczynę szeregu zjawisk...

W Stalowej Woli psycholog i so-  
cjolog podjęli wspólnie, na zlecenie  
dyrekcji, kompleksowe badania,  
m. in. psycho-socjologicznych przy-  
czyn wpływających na wydajność

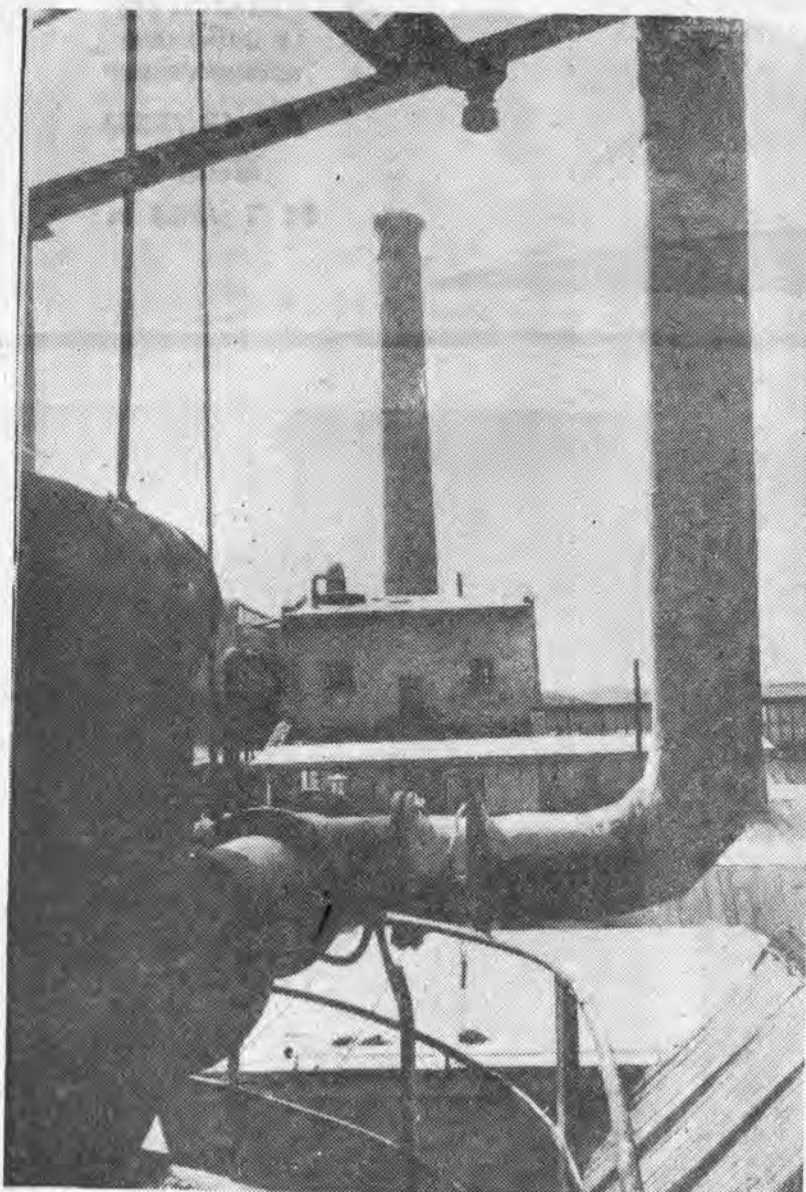
(Ciąg dalszy na str. 2)



„Jan Bolesław Ozóg jest jednym z najwierniejszych wyznawców au-  
tentyzmu... W jego poezji obrzmiałą rolę odgrywa głęboki związek u-  
czuciowy z rodzinnymi, wiejskimi stronami.”  
Fot. M. KOPEĆ



„Kinkiet z korzenia przypominający niespokojne malarstwo Salvadora Dalí” (o rzeźbiarzu z Leska  
wewnątrz numeru).



Fot. M. KOPEĆ

## HUMANIŚCI W FABRYCE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

pracy tokarzy. Oprócz psychotechniki (testy, przyrządy), zastosowano także wywiady, ankiety i obserwacje. W jednym z wydziałów przebadano wszystkich tokarzy oraz nadzór techniczny. Zapoznano się ponadto m. in. z organizacją stanowiska roboczego i jego obsługi; warunkami pracy (oświetlenie, temperatura, stan zanieczyszczenia powietrza itp); zbadano wydajność pracy na poszczególnych zmianach. Sporo uwagi poświęcono warunkom bytowym robotników. Szukano odpowiedzi na pytanie, co robi po drugiej zmianie robotnik dojeżdżający ze wsi, czy pracuje w gospodarstwie rolnym wpływając na wydajność jego pracy w zakładzie. Badano także przyczyny absencji, w które dni jest ona najwyższa, czy częściej opuszczają pracę robotnicy młodzi czy starsi, zamieszkali na wsi czy w mieście.

Zgromadzono bogaty materiał, z którego wypływają praktyczne wnioski. I tak na przykład, stwierdzono, że najwyższy procent nieobecności notuje się po niedzieli, jest ona następstwem niewłaściwego spędzania wolnego dnia. Przeprowadzono więc dodatkowe badania; pytano młodych robotników, jak wyobrażają sobie wypoczynek po tygodniu pracy. Stefan Łabedzki — kierownik Działu Organizacji, który opowiadał o tych badaniach, utrzymuje, że ich wyniki zdopingowały dyrekcję zakładu do zorganizowania ośrodka wypoczynkowego w Ulanowie.

Badania te rzucają nieco światła na przemiany obyczajowe wśród

### Wyniki konkursu KKMP

W dniu 23 października 1965 roku odbyło się rozstrzygnięcie konkursu na debiut literacko-publicystyczny ogłoszony w sierpniu br. przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW. Jury konkursu w składzie: Adam Włodek — przewodniczący, Bogdan Loebl i Jan Grygiel — członkowie, po zapoznaniu się z materiałami nadesłanymi na konkurs postanowiło: w dziale prozy I i III nagrody nie przyznawać, natomiast II nagrodę wyróżnić opowiadanie „Odwiedziny” Jerzego Feliksa Sekowskiego z Debicy.

W dziale poezji I nagrodę uzyskał Stanisław Guzek z Rzeszowa za wiersze „Mała Hellit”, „Dotyk moich rąk” i „Zmęczony autobus”. Nagrodę II przyznano Tadeuszowi Wojnickiemu z Jasła za wiersze „Tło czasu”, „Kropki deszczu”. III nagrody i wyróżnień jury postanowiło nie przyznawać. Z zakresu publicystyki nie nadesłano żadnych prac. Wręczenie nagród odbędzie się w listopadzie na zebraniu Klubu Młodych Pisarzy w Rzeszowie.

młodziści stalowowolskiej; mniej ona pije, oszczędza na określone cele, często na motocykl, nierzadko na mieszkanie spółdzielcze. M. in. nowe zainteresowania oraz rozbudowane formy kształcenia zawodowego i ogólnego powodują, że w przeciwieństwie do lat minionych Stalowa Wola jest już miastem spokojnym. Ale niejednym jeszcze młody robotnik zarabia pieniądze na rozrywki i alkohol.

— Pytam o wzajemne stosunki między robotnikami zamieszkałymi na wsi i w mieście. Odpowiedź nie pokrywa się ze stereotypowymi sądami, które słyszałem w Stalowej Woli przed rokiem. Mówiono mi wówczas o wzajemnych uprzedzeniach. Zresztą robotnicy dojeżdżający ze wsi będą poddani oddzielnym badaniom. I warto! Stan wiedzy w tym zakresie jest w dalszym ciągu niewystarczający, w tej grupie społeczno-zawodowej zwanej — zdaniem językoznawców — niezbyt fortunnie chłop-robotnikami zachodzą przecież przemiany, ewolucja postaw wobec ciążby pracy na roli oraz w fabryce itp.

Powróćmy jednak do tematu. Takie badania wydajności pracy, ja-

kie podjęto w Stalowej Woli, wymagają nie tylko współdziałania socjologa i psychologa, ale także organizatorów produkcji, (oni są szczególnie zainteresowani wynikami badań), lekarzy i innych specjalistów. Pytano np. robotników jakiego rodzaju zmęczenie odczuwają najczęściej. Uskarżają się na wyczerpanie nerwowe, ból nóg, krzyża i oczu. Wypowiedzi te są cenne dla lekarzy, a także dla specjalistów w zakresie ergonomii, (nauki zajmującej się przystosowaniem człowieka do maszyny i maszyny do człowieka). Okazuje się, że odpowiednia wysokość maszyny czyni pracę lżejszą, zapobiega deformacjom ciała, różnorodnym schorzeniom. W Stalowej Woli wnioski z tych badań zaczęto wprowadzać w życie.

Zmieniono również oświetlenie oraz przelamano ściany w myśl zaleceń Centralnego Instytutu Ochrony Pracy. Czy zmiany te dadzą spodziewane efekty produkcyjne? Mieczysław Chojnowski w pracy „Metody i wyniki psychologii przemysłowej” pisze, że oświetlenie ma duży wpływ na wydajność pracy, lecz optymalne natężenie światła jest niezwykle trudne do określenia; jest ono różne dla różnych czynności. Nie ma jednak powszechnie przyjętych norm, a zalecenia w literaturze są często sprzeczne. Eksperymentowanie jest więc konieczne.

Dotyczy to także hałasu oraz muzyki. W Stalowej Woli badani robotnicy mówili, że hałas ich nie męczy, 48 proc. pytanych odpowiedziało, że podczas przerwy wolą ciszę, 52 proc. opowiedziało się za muzyką, natomiast nikt nie zaprzęgnął audycji słownej (warto, by wyciągnęli z tego wnioski nie tylko pracownicy radiowęzłów zakładowych!).

Człowiek do hałasu przystosowuje się łatwo, ale to przystosowanie nie jest nigdy zupełne, o czym zresztą wiedzą mieszkańcy wznoszących obecnie bloków. U ludzi narażonych na hałas przemiana materii jest znacznie wyższa aniżeli u pracujących w korzystnych warunkach akustycznych; na wykonanie tej samej pracy w hałasie organizm zużywa więc więcej energii. Wynikają z tego praktyczne wnioski. Podobnie jest także z muzyką, która odpowiednio i w odpowiednim czasie dawkowana ma dodatni wpływ na wydajność pracy. (M. Chojnowski podaje, że jeden z eksperymentów wykazał, iż nadawanie muzyki w czasie pracy na nocnej zmianie, spowodowało wzrost produkcji o 17,3 proc., i o 7,2 proc. dla dziennej zmiany).

W Stalowej Woli sporo uwagi poświęcono stosunkom międzyludzkim w procesie pracy. Temat to jednak odrębny i bardzo obszerny, ale skoro daję tylko przykłady w reporterskim skrócie, nie można i tego pominąć. Wspomnę dziś tylko, że następstwem badań jest między innymi wprowadzenie do programu szkolenia nowego przedmiotu, który nazwano „Humanizacją pracy”.

Nasuwają się pewne uwagi o charakterze ogólnym. Socjologia i psychologia przemysłu oddaje nieoczekiwane wprost usługi praktyczne. Bez działalności przedstawicieli tych nauk społecznych, humanistycznych nie może prawidłowo funkcjonować nowoczesna fabryka. W polskim przemyśle zapotrzebowanie na wyniki ich prac badawczych wzrasta z dnia na dzień.

ZDZISŁAW KOZIOL

**P**RZYJAZD JANA BLATA do Mechowca z dalekiego Wallingtonu był na ustach wszystkich. Gość wysiadł z taksówki wynajętej w Kolbuszowej i zanim dotarł do mieszkania brata, Wawrzyńca, musiał uściśnić dziesiątki dłoni i odpowiedzieć na wiele pytań.

Nazajutrz do obszernej izby Wawrzyńca Blata ściągnęła chyba cała wieś. Pan Jan zaciągając nieco z mazurska i wtrącając co pewien czas wyrazy angielskie chętnie, z wyraźnym zadowoleniem, że znajduje się w centrum zainteresowania, ciągnął swoją opowieść. Po prostu poszczęściło mu się. Nie od razu, o nie. Kiedy opuścił rodzinną wieś przez wiele lat przemierzał wszędzie i wzdłuż całe Stany w poszukiwaniu pracy. Ale teraz... Nagabywany, w jakich okolicznościach dorobił się fortuny, gość uśmiechając się powiedział, że natrafił na grubą żyłę złota. Niestety, jest już stary i stąd też — jak podkreślał — trochę dziwnie czuje się w roli milionera.

Pan Jan przebywał w Mechowcu prawie 3 miesiące. Odjeżdżając przyrzekł pomóc bratu, obiecał również przysłać trochę pieniędzy dla wsi na cele społeczne.

Dla Wawrzyńca Blata nastąpiły teraz trudne lata, choć prawdę powiedziawszy w jego sposobie bycia, charakterze czy ubiorze nie zmieniło się nic. Jak dawniej zimą i latem chodził w tej samej cąkowej bluzie i flanelowych spodniach wpuszczonych w zniszczone gumowe buty, a młodzi synowie zdzierali liche ubranka ze starszych. Jak dawniej wydzielał pieniądze żonie na nabiał, mąkę, chleb hołdując zasadzie, że kasę powinien zawsze w domu prowadzić mężczyzna, a chcąc się dostać na jarmark do Kolbuszowej — korzystał z wozu któregoś z sąsiadów, aby broń boże nie wydać kilka złotych na bilet PKS.

Toteż, kiedy wieś dowiedziała się, że Blat zamierza zbudować sobie w Mechowcu za pieniądze brata młyn elektryczny, zewsząd zaczęły padać uszczypliwie uwagi: „Dom mu się zapada — zbudowałby kamienicę” — odpowiadał jeden, w mieszkaniu nie ma porządnych gratów — powinien kupić meble” — dodawali drudzy. „Wpierw gospodarke trzeba postawić na nogi, dzieci odziesiąć, zabudowania poprawić, ziemię odwodnić” — tłumaczyli inni.

Ale Wawrzyńca Blat puszczał uwagę mimo uszu. „Mój brat z Wallingtonu powiedział zawsze tak: bysnes to jest bysnes. Pieniądz powinien robić pieniądze”.

Po dwóch latach młyn górował nad całą wsią. Piętrowy, nowoczesny. Za same maszyny węgierskie, pięć Blat po 3 tys. dolarów za tonę. Młyn potrzebował jednak energii elektrycznej, a tu prąd jeszcze do wsi nie dotarł. Chłopi korzystając ze sposobności, zorganizowali komitet elektryfikacji wsi i w skład zarządu powołali Wawrzyńca Blata. Na pierwszym zebraniu z udziałem aktywów wiejskiego przedstawili Blatowi swój plan: „Kochany sąsiadzie — mówili — uradziłbyśmy, że przy waszej i naszej pomocy będziemy mieli światło wcześniej aniżeli powiat planuje. My się opodatkujemy od hektara, wy też dacie trochę i choćby za tydzień przystąpimy do roboty. W przeciwnym razie, do której możecie podłączyć swój młyn, pomogą nam władze powiatowe”.

Jednak Blat na takie rozwiązanie sprawy zgodził się nie chętnie. Powiedział, że do spółki należeć nie chce i manifestacyjnie opuścił zebranie; on sam, bez niczyjej pomocy podciągnął do młyna energię, bo jeszcze

go na to stać. A wieś jak chce mieć światło, niech sobie sama robi.

Doprowadzenie energii do młyna kosztowało go sporo. Około 200 tysięcy złotych. Potem zainstalowano zegary, przed głównym wejściem wkopano kilka świerków przystrojonych kolorowymi bibułkami, ksiądz machnął parę razy kropidłem, stary Blat spuścił na dół rączkę wylącznika i walce ruszyły ścierając na próbę dwa worki żyta. Ta uroczystość odbyła się bez udziału wsi, która nie mogła wybaczyć Blatowi, że tak beceremonialnie i brutalnie odrzucił jej propozycje.

Tymczasem mieszkańcy Mechowca elektryfikowali wieś własnymi siłami. Do dziś wspominają w GRN w Dzikowcu, że jak Mechowiec Mechow-

## EDWARD WISZ

cem, takiego zapachu i takiej krzątaniny jeszcze tam nigdy nie widzieli. Wprawdzie wieś ma na swym koncie wcale niezłe wyniki, bo i szkołę niemal od fundamentów zbudowała i kilka kilometrów wyboistej drogi poprawiła, ale elektryfikacja pobita wszelkie rekordy.

Kładąc już na zebraniu komitetu elektryfikacyjnego kamień węgielny pod przyszły mur oddzielający go od wsi, Blat nie przewidział jednego: pieniądze to jeszcze nie wszystko i na tym koniu daleko nie zajędzie. Z opinii mieszkańców trzeba i należeć się liczyć. Doświadczyl tego na sobie. Nadzieje, jakie wiązał z młynem okazały się niewypałem. Pieniądz nie zawsze robi pieniąż, jak mawiał jego starszy brat. Ludzie jechali ze zbożem do młyna w Dzikowcu, choć mieli nowy pod nos. To była też forma bojkotu.

I kto wie jakby się skończyła ta podjazdowa wojna między Wawrzyńcem Blatem, a mieszkańcami wsi, gdyby nie list pana Jana ze Stanów. Pan Jan napisał do prezesa kółka rolniczego, kierownika szkoły i sołtysa, że przesyła przez Bank PeKaO na konto Wawrzyńca Blata 3 tys. dolarów, które brat powinien przekazać na rzecz kółka rolniczego na kupno traktorów. Zainteresowani ładnie za ten prezent podziękowali, wysuwając jednak inną propozycję. Ponieważ kółko posiada już ciągniki, więc czy by się pan Jan nie zgodził, aby za te pieniądze rozpocząć budowę wiejskiego domu kultury. Placówka taka jest wsi bardzo potrzebna, a i przyszłe pokolenie będzie wspominać szlachetny gest rodaka zza oceanu.

Pan Jan trudności nie robił i wydał stosowne dyspozycje. Przede wszystkim powinni wybrać odpowiedni komitet, w którego skład wszedłby również jego brat. Podejście on gotówkę z PeKaO i przekazał komitetowi. O postępie robót należy pana Jana na bieżąco informować. Obiecał jeszcze przekazać na ten cel dalsze środki finansowe.

Wawrzyńca Blata wybrano przewodniczącym komitetu. W tydzień później pojechał on do Wydziału Kultury Prezydium PRN w Kolbuszowej i poinformował kierownika, że jego brat zamieszkały w USA będzie budował w Mechowcu dom kultury. Jego, to znaczy kierownika, nie to nie powinno obchodzić. Wydział Kultury dostanie już klucze do nowego budynku.

## MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

# RZEZBIARZ Z LESKA

Gdzie jest w Lesku ulica Pułaskiego, wiedzą tylko nieliczni mieszkańcy. Nic dziwnego! Niewiele bowiem ma wspólnego z ogólnie przyjętym pojęciem ulicy ten niby pasaż, niby przestrzeń podwórko zwane ul. Pułaskiego. W oknie parteru domu znaczonego numerem „2” widnieje karton z odręcznym napisem: „Rzemiosło artystyczne”, a poniżej skromnie dodane: J. Romaszkan. Na szerokim parapecie kilka świeczników, interesujące zakładki z plecionej rafii i wisiorkiem w kształcie krążka o ładnym słoju i tym podobne drobnostki pamiątkarskie.

Przypadkowemu przechodniowi nawet nie wpadnie do głowy, że słomiane maty oddzielające wystawkę od wnętrza mogą kryć pracownię z prawdziwym nastrojem artystycznym cyganerii.

Kawałek lasu w domu! Lampy stojąca, wykonana z pnia jałowca,

Cóż za wspaniała atmosfera! Na półkach różne płaskorzeźby, rozpoczęte prace, tam kora „udająca” jeszcze pień drzewa. Moją uwagę przyciąga kinkiet z korzenia przypominający niespokojne, trochę dziwaczne malarstwo Salvadora Dalí.

Nie opodal czerni się niby to maska kudłatego maskarona, którego tak dla siebie nazwałam „Bieszczadzki diabełek”. Maskaron jest kawalkiem pnia o bardzo wyrazistym rysunku kory z lekko wyrzeźbioną jaśniejszą płaszczyną twarzy, w typie legendarnych rozbójników górskich. Dekoracją niecodziennego wnętrza jest jednak Argo — ogromnie towarzyski potomek boksera i owczarka.

I oto pan domu. Smukły, o ciemnych włosach i twarzy potulniowca, człowiek, któremu nie dotądym więcej niż 35 lat. Ma więcej i wcale tego nie kryje, przeciętnie — podkreśla nawet, gdy mówi o ludzich u których talent krystalizował się w wieku męskim, dojrzalym.

Urodził się we Lwowie. Tam chodził do szkoły. Wojna, repatriacja i

wreszcie wieloletnia praca na Śląsku w jednej z hut, ale jako kierownik transportu.

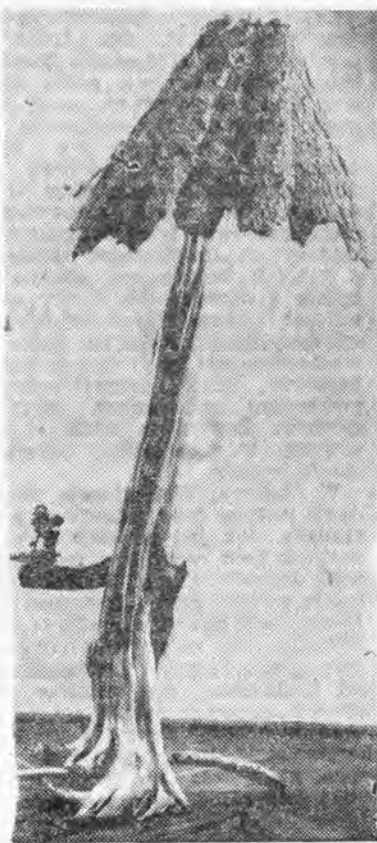
— Właściwie to tak do niedawna byłem jeszcze „samochodiarzem”.

Przed kilku laty przeniósł się z rodziną do Kalnicy, bo tu kupił 2 hektarową działkę i zaczął budować własny dom.

W Bieszczadach obudziła się w nim już tak na dobre żyłka rzeźbiarska. Od dzieciństwa interesowała go rzeźba, ale nie traktował tej zdolności poważnie. Rzeźbił „sobie a muzom”, chociaż faktura drzewa niepokoiła go coraz bardziej, by wreszcie oczarować i wciągnąć ostentacyjnie w arkana sztuki.

— Nareszcie i pierwszy raz w życiu robię to, co naprawdę lubię! Jest samoukiem, czego wcale nie ukrywa, podkreśla, że czeka go egzamin mistrzowski, bo na posiadany dyplom czeladnika nie zamierza poprzestać.

Jan Romaszkan głównie interesuje się rzeźbą. Źródłem inspiracji



Jak zareagował kierownik? Tego naprawdę trudno dociec. Błat mówi co innego, a kierownik też co innego. Kierownik powiada mianowicie, że nie brał jego słów poważnie. Najlepszym dowodem jest to, że nie mu nie doradzał. Sądził, że ma do czynienia jeszcze z jednym z tych, którzy w imieniu komitetów organizacyjnych podejmują się budowy różnych obiektów, zgłaszają pomoc, podejmują prace, by później postawić władze przed faktem dokonanym: jeżeli nie chcecie, aby obiekt zmarł, to go dokończcie.

Kierownik Wydziału Budownictwa i Architektury nie interesował się szczegółami. Pytał tylko — „za ile”. Ie mianowicie dostanie za sporządzenie projektu technicznego i za nadzór.

Wawrzyniec Błat przekroczył swoje uprawnienia. Żądali przedłożenia rachunków za robocizną i materiały budowlane. Domagali się prawa decydowania i kontroli wszystkich przedsięwzięć związanych z budową. Tym bardziej że według krążących pogłosek Jan Błat w dalszym ciągu przysyłał pieniądze na budowę domu kultury na nazwisko swego brata, ale komitet nie był o tym informowany. Sprawa trafiła na sesję GRN i zebranie organizacji partyjnej, później na zebranie wiejskie. Jeszcze raz zażądano od Błata, aby zdał sprawozdanie z całokształtu gospodarki materiałowej i finansowej. Wiedział, że to wszystko może się źle skończyć, chciał się włączyć do budowy, aby uratować to, co jeszcze uratować można. Błat jednak nie ustę-

żądania. Władze powiatowe sugerują, że o tych faktach nie wiedzieli. Nieprawda. Od kilkunastu bowiem miesięcy zarówno komitet powiatowy partii jak też powiatowy komitet ZSL otrzymywały z Mechowca petycje, w których krytykowano postępowanie architekta i partyzantkę budowlaną uprawianą przez Wawrzynca Błata. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności wszystkie zażalenia trafiały do rąk inż. Prenety, który zawsze wykręcał się sianem.

Teraz wszyscy wieszają psy na Wawrzynca Błacie. Czy jednak rzeczywiście tylko on ponosi całkowitą winę? Czy rzeczywiście nikt nie jest w stanie określić zakresu odpowiedzialności wydziałów Prezydium PRN, zwłaszcza Wydziału Budownictwa i Architektury, Wydziału Kultury, Wydziału Gospodarki Komunalnej? Kto oprócz gromadzkich i wiejskich organizacji politycznych próbował w jakiś sposób wpłynąć na Błata i wytłumaczyć mu, że jego postępowanie jest na pewno społecznie szkodliwe? Niestety, nikt. A tworzenie teraz zasłony dymnej w rodzaju: „myśmy o niczym nie wiedzieli” budzi wątpliwości. Władze powiatowe, które zazwyczaj wiedzą o każdym chlewiku wybudowanym przez chłopca, po dwóch czy trzech latach budowy wiejskiego domu kultury i to pod samym nosem, bo za ledwie 9 km od Kolbuszowej, szukają naiwnych tłumaczeń.



# KONFLIKTY

Zanim jednak projekt był gotów Wawrzyniec Błat miał w rękach zezwolenie na budowę. Architekt żądał pieniędzy (łącznie pobrał 12 tys. zł), a klient uzależniał zapłatę pierwszej raty od otrzymania papierka uprawniającego do rozpoczęcia budowy.

Pierwotny plan techniczny nie przypadł chłopom do gustu. „Po co nam taki duży hall? — mówili. — Gdzie pomieścimy kawiarnię, świetlicę, bibliotekę, gdzie sala do zebrań?”. Wobec tego na własną rękę dokonali w projekcie przeróbek i rozpoczęto budowę.

Wiadomość o hojności rodaka zza oceanu lotem błyskawicy obiegła sąsiednie wsie. Proboszcz z Cmolasu, który w swojej parafii zbudował trzeci kościół, wystąpił do mechaników z niecodzienną transakcją: „Pomyślelibyście przede wszystkim o domu bożym. Mam na zbyciu dwa kościoły drewniane. Mogę wam jeden sprzedać. Rozbierzecie w trzy mgi, przewieziecie to wszystko na miejsce i będziecie mieli świątynię jak się patrzy”. Chłopi jednak ofertę księdza kategorycznie odrzucili. „Jak będzie nam potrzebny kościół, to postawimy sobie nowy, a za próchno Bóg zapłać”.

W międzyczasie Wawrzyniec Błat zawarł umowę z prywatną firmą, która zobowiązała się zbudować dom kultury w ciągu dwóch lat. Po kilkunastu miesiącach umowę jednak zerwał, uważając, że firma zażądała zbyt wiele. W miejsce wykwalifikowanych majstrów zatrudnił domorosłych murarzy, wyrobników, którzy praktykowali przedtem latając dziurawe kominy. Błat umiejętnie wykorzystując ich trudną sytuację materialną (jeden z nich znajduje się pod stałą opieką Prez. GRN w Dzikowcu), płacił im co łaska. Robili więc za woreczek maki i za parę zło tych na papierosy. Błat posunął się do tego, że na budowie zatrudnił prawie całą swoją rodzinę, płacąc każdemu po 60 złotych za dniówkę, chociaż większość z nich to dzieci szkolne. Zeby było jeszcze taniej „sprzedał” na budowę swoją na wpół zgnie deski i pokruszoną cegłę, odliczając rzecz jasna dla siebie swoją dółkę.

Na tym tle doszło do scysji między nim a społecznym komitetem budowy. Członkowie komitetu nie bez słuszności podnosili, że w tej sytuacji

powoł — „To są pieniądze mojego brata i wy się nie wtrącajcie. Jak nie zbuduje domu kultury w tym roku, to na pewno za dwa lata. Ale zbuduje”.

Członkowie komitetu poprobowali jeszcze inaczej. Napisali więc do Jana Błata, wyuszczając w sposób delikatny, aczkolwiek stanowczy, że jego brat nie rozlicza się z gotówką i gwizdzą na cały komitet. Wawrzyniec Błat wysłał jednak list do Ameryki wcześniej. Pan Jan odpisał, że lepiej się stać nie mogło, ponieważ w komitecie są sami „tronkowi”, którzy by całą gotówkę przepięć radzi. Chłopi poczuli się obrażeni i do budowy już się więcej nie wtrącałi.

W połowie września br., w trzecim roku historycznej budowy wiejskiego domu kultury w Mechowcu, tenże sam Wawrzyniec Błat ponownie odwiedził Wydział Kultury Prezydium PRN i oświadczył kierownikowi, że budowę przerywa z przyczyn od niego niezależnych. Oto brat przestał już przysyłać pieniądze i jeżeli powiatowi na tym obiekcie zależy, więc niech go dokończycy. Dopiero teraz podniósł się w Kolbuszowej szum. Dopiero teraz przypominano sobie, że w Mechowcu istniała jakaś tam niekontrolowana przez nikogo dzika budowa.

Powolana przez Wydział Gospodarki Komunalnej Prezydium PRN komisja zastąpiła budowę w godnym pożałowania stanie. Partactwo widoczne na każdym kroku. Rozbabrane mury, spartolone stropy. Ile pieniędzy wyrzucono w błoto — tego nikt nie wie. Wawrzyniec Błat twierdzi, że i robocizna, i materiały kosztowały go około 300 tys. złotych; chłopci natomiast powiadają, że najwyżej 100 tysięcy. Ile trzeba jeszcze dokończyć — też trudno określić. Może pół miliona? Może mniej?

Dziś nielato operować dokładnymi wyliczeniami. Architekt powiatowy inż. Julian Preneta jeszcze nie zdążył sporządzić założeń projektowych i kosztorysowych. Okazało się, że inż. Preneta nie interesował się budową, choć przecież za nadzór i za plany pobrał sporą sumę. Tenże więc architekt, który za naruszenie przepisów budowlanych przez chłopów szczerze szafuje karami, tym razem sam złamał obowiązujące za-

## Mówi prof. dr Marian Żychowski

W bieżącym roku akademickim wprowadzono na szeroką skalę nowy przedmiot studiów „Podstawy nauk politycznych”. Obecny program obejmuje trzy główne cykle tematyczne, a mianowicie: współczesne systemy polityczno-społeczne na świecie (państwa burżuazyjne, państwa trzeciego świata oraz problemy państwa socjalistycznego). Integralną częścią tych zagadnień jest cykl ustrojowy dotyczący Polski Ludowej, podejmujący węzłowe problemy polityki wewnętrznej. Część drugą stanowią węzłowe problemy polityki państw socjalistycznych i ruchu robotniczego na tle współczesnych stosunków międzynarodowych. Część trzecia odnosi się do zagadnień związanych z polityką gospodarczą Polski Ludowej. Wprowadzenie tego przedmiotu ma na celu zapewnienie całej młodzieży studiującej na wyższych uczelniach określonego zasobu wiedzy o aktualnych problemach politycznych oraz rozbudzenie wśród tej młodzieży głębszej zainteresowań problematyką polityczną. Na ten temat rozmawiam z prof. dr Marianem Żychowskim, kierownikiem Centralnego Ośrodka Metodologicznego Studiów Nauk Politycznych.

— Inteligencja polska — powiedział on — wywiera znaczny wpływ na wszystkie dziedziny życia, na rozwój oblicza duchowego całego społeczeństwa. Toteż nie do pomysłienia jest dzisiaj formowanie młodego, nowoczesnego inteligenta, zasklepienie tylko w wiedzy specjalistycznej — chociażby najbardziej użytecznej społecznie i zawodowo — bez wyposażenia go w rozległą wiedzę polityczną o współczesności.

— Jakże doświadczenia zostały wyniesione z eksperymentalnych wykładów tego przedmiotu w semestrze wiosenno-letnim ubiegłego roku akademickiego?

— Ołbrzymia frekwencja na wy-

kładach (mimo że obecność nie była kontrolowana) dowiodła, że decyzyja XIII Plenum KC PZPR o wprowadzeniu tego przedmiotu na wyższych uczelniach była jak najbardziej słuszną i na czasie. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że najwłaściwszą formą jest wykład połączony z konwersatorium, co pozwala nie tylko na zadawanie pytań, ale i na szeroką dyskusję. Młodzież nie chce prelegenta za stołem, wolą go mieć wśród siebie.

— Czy nie ma żadnych kłopotów z kształtowaniem światopoglądu naszej młodzieży akademickiej?

— Gdyby nie było kłopotów, nie byłoby rumieńców życia. Czasami wynikają one stąd, że patrzymy inaczej i w sposób niewystarczający wnikamy w sprawy młodzieży. Wychowała się ona w innych warunkach. Dla nich np. II wojna światowa jest prehistorią, a dla nas dniem wczorajszym. Chodzi o to, aby to, co nam było bliskie i stanowiło dla nas wzór obywatelstwa i patriotyzmu, było również bliskie i młodzieży. Jednocześnie konieczne jest, abymy zrozumieli, iż tworzą się nowe wzorce postępowania związane z dniem dzisiejszym, z okresem budowy socjalizmu.

— W żadnym więc wypadku trudności te nie wynikają z „konfliktu pokoleń”?

— Takie zjawisko w ogóle nie występuje, gdyż brak jest w naszym życiu przeciwnych interesów tak politycznych, jak i życiowych. Oczywiście zawsze mogą istnieć rozbieżności w różnych kwestiach. Nie można jednak tego sprowadzać do nieistniejącego proble-

mu, gdyż tak postępując sami zaprzeczilibyśmy naszej pracy dla nowych pokoleń.

— Czyli to również problem dyskusji?

— Oczywiście. Nasza młodzież wychowała się w warunkach stałego napięcia ideowego. Jest niecierpliwa, dociekliwa i stawia często trudne pytania, na które musimy odpowiadać. Młodzież wiele wie, chociaż często widzi różne sprawy w krzywym zwierciadle i nie zawsze potrafi znaleźć odpowiednie formy do dyskusji. Jest jednak konkretna i chce, aby traktować ją poważnie.

— Psychikę młodzieży najlepiej znają ludzie, którzy wiele lat z nią pracowali. Jakże są pańskie doświadczenia na tym polu?

— Odpowiedź na to pytanie zaczęła od tego, że komunista zawsze musi być młody, w sensie rozumienia życia i perspektyw rozwojowych. Powinien rozumieć pokolenie, które obok niego rośnie, musi się stale uczyć, aby nadać się za przemianami.

Ja osobiście z ruchem młodzieżowym byłem związany już w okresie studiów. W pierwszych latach Polski Ludowej pracowałem w Akademickim Związku Walki Młodych „Życie”, a jako członek Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej pracowałem wśród młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego. Byłem też działaczem studenckiego „Bratniaka”. Jeszcze wcześniej prowadziłem teatrzyk amatorski w osiedlu robotniczym Krakowa, Azory. Z wykształcenia jestem historykiem, socjologiem i etnologiem. Wiedza historyczna i socjologiczna również dała mi pewną sumę doświadczeń.

Zdjęcie i tekst: CAF

twórczej jest rodzaj drzewa, faktura, linia słoju, koloryt. Konkretny kawał drewna daje jakoby impuls wyobraźni i narzuca formę.

— Lubię rzeźbę, bo właśnie ona zawiera najwięcej elementów bezpośredniego zaangażowania, część osobowości twórcy...

Znam tylko znikomą część prac rzeźbiarza z Leska, bo łatwiej jest zobaczyć i zdobyć w sklepach CPLIA w Amsterdamie, Brukseli, Nowym Jorku lub warszawskiej „Dessie” niż w samym Lesku, nie mówiąc już o Rzeszowie. Ale z widzianych prac zafascynowały mnie głównie tzw. „kompozycje naturalne” z korzeni lub gałęzi: jaszczurki jak żywe, czy salamandry, kinkiety przypominające głoty drapieżnych ptaków, wspomniany już kapitalny „diablik Bieszczadów”, para tańcząca z żobniczek (własność Prezydium PRN w Lesku) i...

Zwrócenie mojej uwagi właściwie tylko na tradycyjną rzeźbę, nieomal w zupełnym przemilczeniu kompozycji z korzeni, zaskoczyło mnie więc trochę. Zrozumiałam później artystę.

— Cóż — powiedział — te kompozycje są dziełem samej przyrody, której piękna nie można zaprzeczyć ani poprawić. Moim udziałem jest jedynie jak najmniej znaczne podkreślenie tego co odczytałem, niejako pomoc dla wyobraźni osób, które „naturalne rzeźby” z korzeni itp. będą oglądały.

Przed kilku laty, gdy Jan Romaszkan siedł ulicą 3 Maja do Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, z trzema swymi pierwszymi rzezbami, ani przez myśl mu nie przeszło, że praca artystyczna stanie się wkrótce głównym źródłem jego zarobków, źródłem utrzymania całej rodziny. W Muzeum przyjęto go zyczliwie, dyskusja o sztuce przeciągnęła się długo. Uznano, że największą zaletą jego prac jest wiązanie prymitywu rzeźby ludowej z nowoczesnością. Świątki zakupiło rzeszowskie Muzeum, a młody, chociaż nie pierwszej młodości, twórca postanowił bez reszty poświęcić się pracy artystycznej, rozwijać rzeczywiste zdolności, które traktował jako przyjemne hobby.

Dziś dorobek artysty zamyka ponad 30 płaskorzeźb i rzeźb w drzewie, paręset niepowtarzalnych wzorów z korzeni, kompletu taboretów i stołu oraz licznych drobnośtek pamiątkarskich.

Jest to jednak dzieło całej rodziny Romaszkanów. W pracy artystycznej przy obmyśleniu wielu wzorów, impregnowaniu i w ostatnich szlifach pomaga pani Alicja, matka rzeźbiarza, „dyrektorstwo handlowe” spoczywa w rękach małżonki, a dzieci: Krystyna i Piotruś, nie zdradzając zainteresowań artystycznych, gdy coś przeszkobią (jak to dzieci!) za karę chodzą „po korzeniach”.

— Plany, marzenia?



Zdjęcia: ZDZISŁAW POSTĘPSKI

— Mam! Chcę zrobić kilka dużych rzeźb na metr i więcej. Mam już konkretne postacie, a potem może uda mi się zorganizować jaką wystawę. Na razie brak czasu na realizację tych zamierzeń...

W Lesku rzadko kto wie, gdzie ulica Pułaskiego. Nazwisko Jan Romaszkan też nie wszystkim wiadomo. Ale gdy zapytacie, gdzie mieszka leski rzeźbiarz, drogę wskaże wam każdy.

## Gościnne występy M. Ćwiklińskiej

W dniach od 4 do 25 listopada br. odbędzie tournée artystyczne po woj. rzeszowskim znakomita aktorka Mieczysława Ćwiklińska. Wystąpi ona w głównej roli, w znanej już w Polsce sztuce hiszpańskiego dramaturga Alejandro Casona — „Drzewa umierają stojąc”. W pozostałych rolach ujrzymy: Irenę Kucharską, Krystynę Marynowską, Ewę Pachosińską, Wandę Szczepańską, Kazimierza Biernackiego, Olgierda Jaczewicza, Józefa Koscieckiego, Antoniego Marka i Czesława Strzelckiego. Sztukę wystawia Teatr Mały, reżyseruje Emir Chaberski — scenografia Ireny Lorentowicz. Spektakl zobaczą mieszkańcy Gorlic, Stalowej Woli, Rzeszowa, Przemyśla, Mielca, Krosna i Sanoka. Rzeszowskiej Estrady należą się wyrazy uznania za umożliwienie mieszkańcom Rzeszowszczyzny spotkania z artystką reprezentującą najwspanialsze tradycje polskiej sceny. (Jg)

# POLEMIKI POLEMIKI POLEMIKI ZABAWY ERUDYTÓW

Szanowny Panie Redaktorze!

Ten tytuł zaczerpnięty z doskonałych jak zwykle „Listów Teofila” (nr „Szpilek” 42) najlepiej chyba oddaje charakter reportażu redaktora Jerzego Walawskiego z 41 wydania Waszego „Widnokragu”. Ale nie tylko autor, lecz i czytelnik zabawę ma setną.

Objawił się oto nowy, znakomity kalamburzysta? Artykuł „Szukam Ducha” pełen jest rozbrajających homonimosynonimów, prze... i nie... domówień, arcyśmiesznych przejęczeń, etc. etc. Szczególnie w ustępie traktującym o koncercie pewnego zespołu estradowego.

A propos — ustęp... Co za możliwości dla Jerzego Walawskiego! Ale dość. Małuczko, a sam wpadłbym w styl mistrza.

Reportaż w/wym. można by od biedy uznać za niewinną zabawkę erudyty, takie, ot, dziennikarskie figielki, ale już pierwszy strzał z bardzo grubej, bo aż Trio — rurki zapowiada nam dalsze race humoru i satyry. Nie jestem jednak przekonany, czy autor legitymuje się przynajmniej ukończonym Kursem Ognia Bengalskich, jako że jego chłoszczące race trafiają nie w tę tarczę. Ale popatrzujmy jeszcze troszkę wzorem autora.

Duchy jak wiadomo, dopóty są duchami, dopóki się nie zmateralizują, ale tego podobno nawet najstarsi ludzie nie pamiętają. Te podstępne stworzy najczęściej wlażą różnymi otworami w człowieka, czasami tak egzotywnymi, jak te od (cytuje „mistrza”)... guan... (przepraszam!) guaganco... i dopiero zaczynają rozrabiać. Najszkaradniejsze z nich — Duszki Małpiej Złośliwości trafiawszy na dobry, podatny grunt, bywają bardzo nieprzyjemne. Czasami wręcz groźne! Obawiam się, że posiadaczem takiego właśnie Duszka w trakcie poszukiwań w Sarzynie stał się Pański współpracownik — red. Walawski Jerzy.

Jeży się włos (znów ta nieodparta indywidualność autora „Poszukiwań Ducha”) czytając drugoczęść recenzję z występów znanego „Tercetu Egzotycznego” w tejsze Sarzynie. Tercetu, a nie trio, jak to zauważył autor. Ale nie to jest ważne. W końcu dziennikarz-reportażysta nie musi umieć rozróżnić podstawowej nomenklatury zespołów estradowych. Dziwić się jednak należy, że autor — mający ciągłki recenzentki — tak niefrasobliwie zabiera się do tej odpowiedzialnej bądź co bądź pracy.

Znam doskonałych recenzentów — fachowców, którzy dla napisania obiektywnej recenzji z widowiska oglądają spektakl i po kilka razy. Redaktorowi Walawskiemu do absolutnego „zniszczenia” imprezy wystarczała druga połowa koncertu... „Zdolniacha”! Ale niech mu tam! Nie zazdroścę.

Naistotniejsza w tym wszystkim jest moralna krzywda wyrządzona uznanemu zespołowi!

Szanowny Panie Redaktorze!

Wydaje mi się, że zbijanie zarzutów zawartych w reportażu red. Walawskiego byłoby w tej formie bezsensowne. Zresztą on sam w sposób nie podlegający dyskusji stwierdził (arcydociepnie!), że program „Tercetu Egzotycznego” to jedno wielkie „guaganco”. Z trzema wykrzyknikami. (Dla wyjaśnienia: guaganco — odmiana rumbu, to jeden z najpopularniejszych rytmów kubańskich. No cóż! De gustibus!

Panie Redaktorze! Proponuję Panu wybranie się na którykolwiek z koncertów Tercetu Egzotycznego odbywanych obecnie w województwie rzeszowskim. Ale bez red. Walawskiego. A nuż go ktoś rozpozna? Nuż wstąpi w kogoś tak miły dla red. Walawskiego Duszek Na Wszelki Wypadek Polakierujemy i podstawimy mu na imprezie dwa krzesła albo i cały rząd podłóżki? Jajecznicę ze strusich jaj podzrucę? Może się czuć nieswojo. A potem wrażenia na papier przeleje (w odpowiednim ustępie!)

Przy okazji, dla obiektywnego odbioru programu nie sugeruję się Redaktorze reakcją widowni. Miejmy i my swego Duszka: Na Wszelki Wy-padek Asekurujemy Się.

Pozwoli Pan, że zakończę cytatem z „Listów Teofila”: „...jak widziacie, redaktorze, ludzie pióra i erudyty nie nudzą się. A nawet można powiedzieć, że celnym humorem zarażają innych”.

Łączę pozdrowienia i zapraszam na najbliższy koncert  
ANDRZEJ PACYNA

P. S. Chętnie udostępnię: 1) liczne recenzje na temat koncertów „Tercetu Egzotycznego” z prasy krajowej i zagranicznej.

2) Opinie odbiorców programu w województwie rzeszowskim.

## W SPRAWIE USTĘPU Z KALAMBURAMI

Pochlebiamy mi pan Andrzej Pacyna nazywając mnie erudytą — na wszelki wypadek dziękuję.

Jeżeli chodzi o „kalambury”, „zabawne przejęczenia” i „niedopowiedzenia” przyznaję ze wstydem, że popełniłem plagiat, ściągając to wszystko od konferansjera. Bardzo się wstydzę!

Nie miałem zamiaru pisać recenzji i nie pisałem jej. Impresje z występu podyktowały mi oczywiście Duszki Małpiej Złośliwości — ten atawizm nieszczęsny — trafiając na „podatny grunt”, co przyznaje sam pan Pacyna. Nie ja ten „grunt” przygotowałem.

Krzywda moralna zespołu?! Jeżeli się występuje publicznie, to publicznie można zostać skrytykowanym, publicznie usłyszeć parę złośliwości. Trzeba być na to przygotowanym.

O ustępach, na specjalne życzenie p. Pacyna napiszę przy najbliższej okazji. Temat jest mocno zaniedbany.

Łączę ukłony  
JERZY WALAWSKI  
WRAZ Z DUSZKAMI

ALEKSANDRA BONARSKA — aktorka Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Rys. JERZY SIENKIEWICZ



# zdarzenia tygodnia

W Starachowicach odbyło się 3-dniowe seminarium międzywojewódzkie poświęcone problemom integracji społecznej oraz jej przyczynom. Z województwa rzeszowskiego uczestniczyli w nim kierownicy powiatowych i zakładowych domów kultury oraz przedstawiciele WDK w Rzeszowie. Podobne seminarium odbędzie się w Rzeszowie w grudniu br.

24 października br. w Przemyslu odbył się Festiwal Orkiestr Detych zorganizowany przez Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych oraz WDK. Na przemyskim rynku, przy udziale ponad 1500 mieszkańców tego miasta, wystąpiły orkiestry rzeszowskiej WSK pod batutą Jana Chomika, Sanockiej Fabryki Autobusów (dyr. Wł. Hołówkiewicz), Rakszawskich Zakładów Przemysłu Wełnianego (dyrygent F. Trojnar) i WSK w Mielcu pod batutą G. Ossaka.

Na koncert złożyły się występy indywidualne poszczególnych zespołów i występ zbiorowy. Połączone zespoły wykonały 8 utworów kompozytorów polskich.

Przy Komendzie Chorągwi ZHP w Rzeszowie powołano 7-osobową komisję kultury, w skład której weszli przedstawiciele instytucji kulturalnych. Zadaniem komisji będzie udzielanie pomocy w koordynacji pracy kulturalnej i oświatowej. Warto zaznaczyć, że Komenda Chorągwi opracowała bogaty plan działalności dla drużyn i innych ogniw Związku.



# DROGA POETY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

procesów („Stront”, „Kolor krwi”, „Kiedy”, „Z Pamięci”) zagrożonych ubocznymi skutkami, industrializacji i nowoczesnej cywilizacji technicznej. Czy pozostanie jeszcze za wiek zapach jabłek, czy ocaleje w ogrodach kminek i miłość młodych buków? Czy nie ulegną zagładzie najprostsze związki człowieka z ziemią? Pojawiają się katastroficzne nastroje i apokaliptyczne wizje widoczne choćby w samych tytułach wierszy: „Temudzyn”, „Noe”, „Stront”, „Napis z arki”, „Strach” — lęk przed grzybami atomowymi, rakietami i lotami kosmicznymi, przed nadmiernym rozrostem metropolii miejskich i nadmiernym przyrostem mieszkańców globu. Można i chyba trzeba polemizować z tak pesymistyczną wizją przyszłości. Zdaje się, iż jedyną szansą na utrzymanie istnienia ludzkości na Ziemi za tysiące lat jest właśnie rozwój cywilizacji technicznej i przemysłowej. Ożóg jednak nie jest w tych niepokojach osamotniony; lęk przed owocami takiej cywilizacji odczuwa wielu poetów i pisarzy, ale chyba on nadaje im szczególnie przejmujący

wyraz. Tu już bowiem chodzi nie o zagrożenie wartości humanistycznych, o co wielu kruszyło kopie, lecz o zupełnie konkretne obawy o dobra człowiekowi najbliższe — naturę i urodę naszego świata.

Te dwa zasadnicze motywy, aczkolwiek nie jedyne, krzyżują się z sobą i wielokrotnie powtarzają w „Poezjach wybranych”. Poza tym sprawy odwieczne w każdej liryce — miłość, narodziny, śmierć człowieka, porachunki z sobą i światem... Na szczególną uwagę zasługują erotyki z cyklu „Dzikie jabłko” dzięki swej szerokiej skali emocjonalnej, sugestywności i rzadkiej piękności.

Konflikty i niepokoje poety ujawniają się nie tylko w tym o czym mówi, ale także w tym, jak mówi. Ożóg walczy z estetyczną urodą liryki, z gładkością i konwencjonalną potocznością. Różnią ją prozaimiami, zakłóceniami rytmiki, czy ostrymi dysonansami. Świadomie wprowadza chrowotałość i brutalne zestawienia słowne. To powoduje, iż jego liryka nie jest łatwa w odbiorze, wymaga wstęchania się i wrażliwości poetyckiej. Nie jest również komunikatywna w

potocznym sensie tego pojęcia. Ale zadziwiają te wiersze oryginalnością, świeżością języka, śmiałością skojarzeń, która w efekcie daje prawie nadrealistyczną wizyjność, a przede wszystkim umiejętnością wplatania uniwersalnej problematyki między tkankę realiów konkretnych i zmysłowo uchwytanych. Te wiersze prawie się widzi i słyszy.

Przez 30 lat kroczył poeta samotnie raz wybraną drogą — niedoceniony — bez zachęty i większego aplauzu. Trzeba na to było wielkiej odwagi i wielkiego uporu. Nie dostrzegano jego nowatorstwa w poezji o tematyce rustykalnej, jego zdobyczy formalnych i jego oryginalności. Krytycy o wiele więcej miejsca poświęcają debiutantom, zwłaszcza, gdy wkraczają z tupetem w obszary metafizyki lub abstrakcji niż poetom chodzącym po ziemi i w niej znajdującym źródła liryzmu. A przecież Jan Bolesław Ożóg zwyciężył — niezależnie od zmiennych koniunktur na giełdzie literackiej, zdobył w polskiej poezji współczesnej trwałą i wysoką pozycję. Stał się nie tylko wyrazicielem niepokoju, udręk i przywłażań dużej dziś grupy inteligentów chłopskiego pochodzenia, lecz również reprezentantem tego co w poezji najcenniejsze — wzruszenia i wrażliwości na zmysłową urodę świata. J. GRYGIEL

## ZE WSPOMNIENIA AUTORA NOCY UCIEKLI W

NOCY. Nad ranem pojawili się pierwsi fizylierzy w szarych szynelach i grzechocząc z automatów i erkaemów pobiegli na zachód. W jakiś czas potem potoczył się za nimi cały pochód. Czoiği, działka, pułki kawalerii, katusze i nie kończące się kolumny piechoty. Lekkie, pancerne samochody pędziły to naprzód, to do tyłu.

W pewnym momencie cały pochód zatrzymał się. Większość żołnierzy tak jak staniała, legła na ziemi. Zmęczeni wielogodzinny marszem siedali bądź kładli się, zasypiając z miejsca kamiennym snem.

I wtedy zobaczyliśmy jego. Wysocki, czarnoskóry Gruzin lekkim krokiem górala podchodził do leżących na polu zabitych. Pochylał się nad nimi, odwracał jeźeli leżeli piersią do ziemi, patrzył w twarz. Potem zbliżył się do nas.

— Drugich ubitych niet?  
— Są, tam za domami.

Żołnierz ruszył we wskazanym kierunku, a po kilku minutach był z powrotem.

— Nie ma. To nie oni — powiedział głucho, patrząc w ziemię.

— A kogo pan szuka? — spytał mój ojciec.

— Synów. Trzech mam na froncie. Od 2 lat nie wiem co się z nimi dzieje, ot i patrzę, może gdzieś którego spotkam.

— To dlaczego szuka pan wśród zabitych? Może żyją?

— Jeżeli żyją, to wrócą. Ale jeżeli któryś z nich będzie leżał ot tak w polu, a ja przejdę obok?...

Z LISTU DO REDAKCJI

„W czerwcu 1941 roku w czasie walk w okolicach Przemysła Grigorij Kacitadze dostał się do niemieckiej niewoli i przebywał przez krótki okres w obozie obok Jarosławia, gdzie panował głód i choroby, a faszyste mordowali bezbronnym jeńców. Porą jesienią udało mu się zbiec i ukrywał się wraz z innymi zbiegłymi jeńcami u gospodarzy w Zalesiu, pow. Łańcut. Między innymi przez około 9 miesięcy był u Andrzeja Walata”.

## WITOLD SZYMCZYK

# Nazywali go-Grzech

LUDWIK KOWAL — mieszkaniec Zalesia: Opowiadał, że było to tak. Przyjechali za San w 1941 roku z nowymi czołgami. Uczyli na nich jeździć młodych żołnierzy. 22 czerwca, kiedy Niemiec ruszył na wschód dostali rozkaz, który zabraniał im strzelać do niego. Hitlerowskie samoloty i artyleria rozbiły wszystkie w perzynie — bezkarnie. Żołnierze patrząc na to płakali z wściekłości i żalu. Zanim tamten rozkaz został odwołany nie było już czym walczyć. Wystrzelili raptem dwa czy trzy razy i po wszystkim. Otoczeni ze wszystkich stron, bez czołgów, musieli się poddać.

SYN KOWALA: Uciekłem z niewoli w czasie transportu. Prowadzili ich dokąds i wtedy on skoczył do rowu przydrożnego i ukrył się w ocembrowaniu kanału przechodzącego pod drogą. Przeczekał tam jakiś czas i ruszył do ludzi.

ANDRZEJ WALAT: Wziąłem go do siebie, bo przecież trudno było zostawić chłopaka na pastwę losu. Przedstawił się jako stolarz, obiecywał robić wszystko co trzeba. Myśle: spróbujemy. Sam jestem stolarzem więc wyszukałem mu w próżnej izbie warsztat i patrzę jak też nobota wyjdzie. Widzę: stolarkę to on gdzieś oglądał, ale zawodu nie znał.

Był tu ponad 8 miesięcy. Wieczorami schodzili się ludzie, powiadałi, że w Trzebosi ukrywa się jakiś Rosjanin, potem że w Medyni Głogowskiej jest kilku. Zaczęli się wymykać. Zdarzało się, że przepadał na 3-5 dni. Wracał nad ranem, zdrzemnął się i stawał do roboty.

LUDWIK KOWAL: Do nas przyszedł już po bytności u Walatów. Dalej robił stolarkę u mnie i u różnych ludzi, a wiedziała o nim cała

wieś i lubili go wszyscy. Szybko nauczył się mówić po polsku, a kiedyś nawet ruszył z nami do kościoła. Traktowaliśmy go jak swojego i on odpiął się czym mógł.

Często przychodzili inni zbiegowie z niewoli. Było wśród nich dwóch Gruzinów. Siedał wtedy z nimi i mówił z sobą o czymś w ojczywym języku szybko, niezrozumiale. Pamiętam i innych jego kolegów — Wasyla, który siedział u Szubertów i podobno odwiedził ich już po wyzwoleniu oraz Szczepana, jak mówił, oficera, który miał u nich duże poważanie i jawnie chodził z bronią. Prawdopodobnie także przetrwał wojnę.

Stało się to jesienią 1943 roku. Księżyc zalewał wieś srebrną jasnością, kiedy dom Franciszka Chorzępy — gdzie nocował wtedy Kacitadze — otoczyli Niemcy i granatowa policja. Uderzyli kolbami w drzwi. Weszli do środka.

Grigorij spał na strychu. Obudziwszy się postanowił nie czekać aż Niemiec wejdzie na górę, ale po drabinie zeskoczył na dół, potrafił policjanta stojącego w drzwiach i wypadł na pole w kierunku niedalekiego lasu. 10, 20, 30 metrów...

Gdyby było ciemno, pochmurne bezgwiazdne niebo, byłby może uszedł, ale zdrażliwy księżyc świecił pełnym blaskiem. Na 50 metrze dosięga go kula. Grigorij wali się na ziemię.

Swoją ucieczką ratuje życie gospodarzom. Korzystając z tego, że uwaga policjantów skupiła się na uciekającym, Chorzępa prysnął przez okno w jedną stronę a jego żona w drugą. Ukrywali się przez pewien czas, ale przesyli (po wojnie wyjechali do Stanów Zjednoczonych).

Nazajutrz soltys, z którymś z sąsiadów zbil drewnianą trumnę. Pochowano Kacitadze na parafialnym cmentarzu. W dniu Święta Zmarłych grób jego przyozdabiano kwiatami, palono świeczki, a po wyzwoleniu — dzieci, które tak bardzo lubił, porządkowały mogiłę, wtykały w ziemię biało-czerwone i czerwone chorągiewki.

Właśnie w listopadzie, kiedy nad grobem zebrała się gromadka przyjaciół poległego, ktoś przypomniał sobie, że Grzech zostawił mu swój adres, że można by odszukać rodzinę...

Wziął to w swe ręce zamieszkały w Rzeszowie zalesianin Władysław Walat. Powędrował list, a następnie fotografia do radzieckiego konsulatu w Krakowie, do ambasady, a w jakiś czas później z odległej Gruzji, z podgórskiego miasteczka Ambrolauri nadeszła odpowiedź. A potem 8 października br. na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Łańcutcie — dokąd w międzyczasie przeniesiono zwłoki Grigorija — w 22 lata od owej nocy 1943 r. stanął inżynier Garam Kacitadze, młodszy brat poległego. Stanał, złożył kwiaty, poobrał z grobu ziemię i ozdobną roślinę zasadzoną tu czyjąś troskliwą ręką, zawiózł je do stron rodzinnych, na Kaukaz.

Nazywali go Grzech, Grześ, nie wiedząc, że jego imię Grigorij odpowiada naszemu Jerzemu, uważali go za swojego i lubili może bardziej niż niejednego ze swoich. Czarnowłosy chłopiec z Kaukazu, z przepięknej doliny rzeki Rioni, na zawsze podbił serca ludzi w dalekiej polskiej wiosce i na zawsze zostanie w ich pamięci.